

# „Wola mocy” ... silnika

[...] rozjeżdżanie naszych lasów jest jakimś dramatycznym wołaniem współczesnych mężczyzn o własną tożsamość, którą zgubili w cywilizowanym zamęście

stwierdza dr Ryszard Kulik w „Dzikim Życiu” nr 4/2010

Diagnoza ta jest na pewno ciekawa, ale czy do końca trafna? Od znajomego leśnika usłyszałam: *Pamiętam jak jego ojciec rajdował po lesie „wufemką”, teraz starszy syn bawi się w motocrossowca, a młodszy dostał quada na komunię.*

Prawie dwieście lat temu Antoni Malczewski, pierwszy Polak, który zdobył Mont Blanc, pisał *Hej, ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozacze?* Pęd zawsze upajał, kojarzono go z wolnością, przygodą, tajemniczością i... zagładą (Czterej Jeźdźcy Apokalipsy). W większości kultur występują jeźdźcy noszący symboliczne, magiczne nazwy, jak „jeźdźcy bez głowy”, „czarni jeźdźcy”, „mściciele”, „buntownicy bez powodu”. Ich przejazd oznaczał zmiany, nierzadko klęski czy epidemie. Budził lęk, ale i tęsknotę za przestrzenią, za innym, fascynującym życiem. Jeźdźcy łamali prawo, a przede wszystkim zwyczaj, ustanawiali nowe, własne reguły. Dobrze jest o tym wszystkim pamiętać, wypowiadając się na temat „rajdowania”.

Jeźdźcy zadają pytanie: Dlaczego społeczeństwo nas tak nie lubi? Najczęściej udzielają sobie sami odpowiedzi, zresztą jedynej, która ich zadawała: bo nam zazdrości, że mamy fajny sprzęt i odwagę robienia tego, na co mamy ochotę. Dlatego należy zapytać inaczej: A dlaczego ma lubić?

Nie będę tu przytaczać argumentów, zajęłyby za dużo miejsca, zajmę się tylko jednym, który właśnie w Polsce wydaje mi się niezmiernie ważny, ma on naturę polityczną. Otóż możliwość „rozjeżdżania” obnaża demokrację w polskim wydaniu. Zafascynowani jesteśmy prawami jednostki, prawami mniejszości i zapominamy, że wolność nasza czy czyjaś kończy się tam, gdzie narusza prawa do niej drugiego człowieka. Jeźdźcy wyznają po prostu „wolę mocy” (prawo silniejszego) i to aż nazbyt dosłownie, bowiem ta „moc” to moc silnika ich pojazdu. *Do żadnych wyborów nie pójdę, co to za wolność, kiedy jeżdżą po moim prywatnym lesie, ba, po sadzie, ja mam gdzieś taki ustrój i takie władze, które nawet z tym nie mogą sobie poradzić* - mówili i mówią nadal moi i nie tylko moi rozmówcy, traktując obecność rozjeżdżających na swoim terenie jako test na skuteczność władzy.

Problemem obecności na górskich szlakach pojazdów silnikowych zajęłam się jako rzecznik prasowy Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego po śmiertelnym wypadku w rejonie Kudłaczy w 2006 roku. Szczerze przyznam, że odczuwałam osobistą satysfakcję, kiedy 24 lipca 2007 r. Sejm znowelizował ustawę „Prawo o ruchu drogowym” z 20 czerwca 1997 r. Nowelizacja dotyczyła Art. 6, Art. 129c, Art. 129e i Art. 129f. Była wynikiem nacisku wielu środowisk zaniepokojonych obecnością pojazdów motorowych na terenach objętych zakazem wjazdu, jak lasy, szlaki turystyczne, parki narodowe, ale bezpośrednio echem roboczej konferencji zorganizowanej przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, która odbyła się 26 marca 2007 r. w krakowskim „Klubie pod Gruszką” i interpelacji ówczesnej posłanki PiS, Barbary Bubuli. Od tego czasu nastąpiły inne regulacje prawne, dotyczące przede wszystkim bezpieczeństwa.

Pojazdy jednak potaniały i trafiły... „pod strzechy”. Powstają stowarzyszenia, w Krakowie działa (piękny lokal) Stowarzyszenie Czterokołowców. Na uczelniach technicznych i rolniczych pisane są prace na temat pojazdów, przeprowadzane badania. Psychologicznym czy socjologicznym portretem „jeźdźca” zajmują się studenci kierunków społecznych i humanistycznych. W 2008 r. dotarła do mnie

studentka AWF w Krakowie, entuzjastka pojazdów, która zbierała materiały do pracy magisterskiej „Quady jako produkt turystyczny”, pisanej na kierunku „Turystyka i Rekreacja”.

Młodość musi się wyszumieć, jej święte prawo ryzykować życie czy zdrowie, ale... ponosząc tego konsekwencje, czyli ubezpieczając się tak jak alpinisci, aby potem nie leczyć się za pieniądze nas wszystkich i aby ewentualne ofiary działalności mogły też się godziwie i szybko leczyć. Tory powinny być tworzone i urządzone nie za pieniądze podatników, lecz zainteresowanych. Trzeba próbować rozmawiać z właścicielami olchowych zagajników, nieużytków, terenów zalewowych czy osuwiskowych (przybyło ich po powodzi) – może je sprzedadzą, zamienią, a wtedy władza lokalna spojrzy przychylnym okiem i zaakceptuje inicjatywę. Wierzę, że w przyszłości zarówno organizatorzy torów, jak i właściciele tzw. parków adrenaliny, dopilnują, aby nikt im do lasu nie uciekał. Mój zięć Kanadyjczyk (bez polskich korzeni), fan motoryzacji, na widok „jeźdźców” spotkanych na szlaku turystycznym wyrzucił z siebie angielskie odpowiedniki polskich słów „barbarzyńcy” i „wandy”. Nie było mi miło.

Antonina Sebesta